

Zygmunt Wojski

OD ŁUPI DO PARANY I AMAZONKI (I CZĘŚĆ: DZIECIŃSTWO, LATA SZKOLNE, UNIwersYTET WARSZAWSKI, KUBA)

Streszczenie: Tekst obejmuje okres spędzonego w Skierniewicach dzieciństwa i wczesnej młodości, a więc lata przedszkolne na ulicy Łowickiej i w jej najbliższej okolicy, potem naukę w Szkole Podstawowej nr 4 i w Liceum im. Bolesława Prusa w Skierniewicach. Poza opisami krajobrazów należy wymienić uczestnictwo w koloniach i obozach harcerskich, a potem okres studiów romanistycznych na Uniwersytecie Warszawskim i pobyt stypendialny na Uniwersytecie Hawańskim na Kubie. Zamyka te wspomnienia okres po powrocie z Kuby do Polski i praca w charakterze tłumacza w Ministerstwie Kultury i Sztuki w Warszawie.

Słowa kluczowe: ul. Łowicka w Skierniewicach, Szkoła Podstawowa Nr 4 w Skierniewicach, Liceum im. Bolesława Prusa w Skierniewicach, kolonie, obozy harcerskie, Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Hawański, Ministerstwo Kultury i Sztuki w Warszawie.

Summary: The article covers the period of childhood and early youth of author spent in Skierniewice, i.e. the preschool years on Łowicka Street and in its immediate vicinity, then education at Primary School No. 4 and at the Bolesław Prus High school in Skierniewice. In addition to descriptions of landscapes, one should mention participation in scout colonies and camps, and then the period of studies in Romance studies at the University of Warsaw and a scholarship stay at the University of Havana in Cuba. These memories are closed after returning from Cuba to Poland and working as a translator at the Ministry of Culture and Art in Warsaw.

Keywords: ul. Łowicka in Skierniewice, Primary School No. 4 in Skierniewice, Liceum of Bolesław Prus in Skierniewice, summer camps, scout camps, University of Warsaw, University of Havana, Ministry of Culture and Art in Warsaw.

* * *

*...pamięć opiera się czasowi i jego destrukcyjnej mocy
i jest rodzajem formy, w którą wieczność może się
przyoblec w swej nieustannej wędrówce*

(Ernesto Sábato *Opór*, Madryt 2000, tłum. Z.W.)

Słońce, woda, kwiaty, ptaki, ryby to mój żywioł, moja największa fascynacja odkąd sięgam pamięcią wstecz. A wszystko zaczęło się nad Łupią w latach czterdziestych...

Nasz biały domek, ozdobiony w narożach i tuż nad ziemią pasami szarego „baranka”, ze spadzistym blaszanym dachem i dużym prostokątnym kominiem, zbudowany w 1929 r., zaraz po ślubie rodziców, był jeszcze do połowy lat pięćdziesiątych przedostatnim domem po lewej stronie ulicy Łowickiej w Skierniewicach. Miał wtedy numer 83, zmieniony w 1968 r. na 105. Za nami był jeszcze tylko dom pani Heli Dominiakowej, potem pusta przestrzeń, czyli pół kilometra pół należących do położonej ponad 1 km w głębi na prawo małej wsi Starbacicha, skąd pochodziła mama, a od drewnianego krzyża stojącego pośród czterech potężnych topól zaczynała się już Mokra Prawa.

Dopiero pod koniec lat 50. „kocie łby” na Łowickiej zalano „smołówką”, czyli podlej jakości asfaltem, położono płyty chodnikowe po obu stronach ulicy, a puste place zaczęły się wypełniać nowymi domkami. Ale wróćmy do późnych lat 40. i wczesnych 50. Po prawej stronie ulicy sporo było jeszcze wtedy domów krytych strzechą. Ta prawa strona wiernie zachowywała dawną strukturę wiejską z czasów, gdy ulica Łowicka była wsią o nazwie Skierniewka Prawa (okoliczni starsi mieszkańcy jeszcze w latach 60. mówiąc o ulicy Łowickiej, używali nazwy „Skierniówka”). Za domowymi zagrodami, w pewnej od nich odległości, stały w równym rzędzie stodoły. Wiodła za nimi dróżka, którą często wracałem ze szkoły do domu. Mawiało się wtedy: „Pójdziemy po zastodolę, będzie bliżej i szybciej”. To fakt, że powrót po zastodolę jakoś mniej się dłużył niż ulicą. Po lewej stronie większość stanowiły nowsze murowane domki, a nieliczne drewniane kryte były papą, blachą lub dachówką. Po „kocich łbach” przetaczały się z łoskotem wozy często o drewnianych kołach. Po bokach, z obu stron „kocich łbów”, ciągnęły się pasy piaszczystego wyboistego gruntu i choć niezbyt szerokie, także służyły furmankom, których woźnice pewno dość już mieli ciągłego podskakiwania i turkotu na „kocich łbach”. Wzdłuż ulicy, po obu stronach były głębokie rowy, wiosną i latem królestwo żab, a zimą, podczas mrozów, ulubione miejsce ślizgawek dla miejscowej dzieciarni.

Co czwartek tłumnie podążali na targ do Skierniewic wieśniacy z Mokrej Prawej, Sierakowic i Borowin, niektórzy na rowerach, inni wozami, jeszcze inni pieszo. W niedzielę podobne tłumy zmierzały do kościoła św. Jakuba. Nierzadko widywało się kobiety w łowickich pasiakach i zapaskach zarzucanych na ramiona oraz barwnych chustkach na głowie. W upalne letnie niedzielne popołudnia zapuszczał się aż tutaj lodziarz, pchając swój wózek i nawołując przeciągle: „Lody, lody, lody!”. Amatorów lodów nigdy nie

brakowało. W jednej z najbardziej okazałych kamienic, należącej do pana Walczaka, w podwórzu funkcjonowała jakiś czas piekarnia. Chodziłem tam po chleb. Takie prozaiczne obowiązki zawsze mnie nużyły, ale gdy znalazłem się kiedyś na owym podwórzu (miałem wtedy może 8 lat) zobaczyłem w oknie na piętrze chłopca, który tak znakomicie dmuchał na tańczące w powietrzu ptasie piórko, że miast opadać, unosiło się ku górze wyżej i wyżej. Pomyślałem: „Chciałbym być takim magiem!”. Do pani Krakowej chodziłem po biały barszcz w butelce. Mama robiła z tego żur i zalewajkę. U pani Himmlowej działał magiel, który parokrotnie odwiedzałem z mamą. Później, w połowie ulicy, w domu państwa Karmańskich, założono tak zwaną „spółdzielnię”, czyli pierwszy sklep spożywczy na Łowickiej. Pod koniec lat 50., na początku ulicy, powstał kiosk spożywczy, w którym sprzedawała pani Popielowa. Przy okazji zakupów uciałem sobie z nią kiedyś pogawędkę o literaturze francuskiej, której okazała się wielką miłośniczką. Wiem, że jeździła też figurowo na łyżwach. Niestety, nigdy nie miałem okazji zobaczyć jej w tańcu na lodzie...

Najwspanialszy na Łowickiej był dla mnie dom państwa Cabanów, tuż przed naszym, też po lewej stronie. Dom — zameczek, z przeszklonym półkolistym wielkim oknem na piętrze. Ilekroć tamtędy przechodziłem, wpatrywałem się w ten cudowny punkt obserwacyjny z widokiem na okoliczne sady i myślałem, jak by to było wspaniale siedzieć przy takim oknie, pisać, czytać i obserwować. Z perspektywy lat, po tylu podróżach do „światlistych” krain południowej Europy i obu Ameryk, z mojego dzieciństwa wyławiam głównie wiosenne i letnie wspomnienia, wypełnione słońcem, kwiatami i śpiewem ptactwa. Przed naszym domkiem był od ulicy niewielki ogród kwiatowy. Pod płotem, dywan barwinku, w czterech rogach cztery kępy kanny, pod samym domem i od strony uliczki wiodącej na podwórze łąny konwalii, a pośrodku krzaki różane, dwie, trzy kępy peonii, lwia paszcza, niebieskie irysy, orliki, ostróżki, lewkonie... Rosły też trzy drzewka bzu różowego, pojedynczego, ale o dużych cudownie pachnących kwiatach. Ileż to razy już podczas studiów, gdy wracałem do akademika do Warszawy, dostawałem od mamy pęk tego bzu i bukiet konwalii, owiniętych umiejętnie mokrą szmatką, bym dowiózł je w jak najlepszym stanie! Ten ogródek był oczkiem w głowie naszej mamy, dla której największą przyjemnością było usłyszeć komplementy na jego temat lub dostrzec poprzez firanki w pokoju, jak różne przechodzące ulicą panie, a czasem i panowie, zatrzymują się przed nim z podziwem.

W uliczce prowadzącej na podwórze rosły krzaki jaśminu i bzu oraz młode wiśnie, a na środku podwórza orzech włoski, dalej, cała alejka młodych krzaków tego samego różowego bzu, a pod domem, rosochata wiśnia i jeszcze wielki krzak bzu przy płocie. Bez ten stanowił rodzaj naturalnego parawanu od strony ulicy widocznej przez druciany płot. Za podwórzem, od strony rzeki, ciągnął się sad owocowy, posadzony przez ojca chyba w 1948 r. Między sadem a polem biegła tak zwana „Górna Droga”, cudowna polna droga, która zaczynała się na ostrym zakręcie ulicy Łowickiej, obok kapliczki,

przecinała sady i pola, wspinając się na łagodne wzgórza na wysokości Starbacichy, a potem lekko opadając ku dolinie Łupi przy młynie pana Frączkowskiego i znów wspinając się nieco, podążała aż do Sierakowic, do młyna pana Godosa, a może jeszcze dalej. Wielbię Cię, Górna Drogo, najpiękniejsza z dróg mego dzieciństwa! Łany zbóż po obu stronach, po lewej, wijąca się Łupia, nieustanny śpiew skowronków, całe kępy wonnej macierzanki, powoju, rozchodnika, wszędzie jak okiem sięgnąć rozfalowane morze kłosów.

Idąc miedzą wzdłuż sadu i pola, wychodziło się na górkę, gdzie rosła dzika grusza, spod której rozciągał się dość obszerny widok na dolinę Łupi i młyn pana Cieplińskiego. Po paru krokach w dół dochodziło się do małej łączki nad samym brzegiem rzeczki płynącej dość szeroko wśród szpaleru olch, wierzb i krzaków czarernchy. Moją najwspanialszą nauczycielką przyrody była od najmłodszych lat pani Kazimiera Przybyłowiczowa, córka ogrodnika, co warto dodać. Mieszkała wraz z mężem Józefem oraz dziećmi Krysią i Kaziem w drugiej połowie naszego domu, aż do 1967 r. Nasza mama była wciąż zajęta pracą w polu: po śmierci ojca w 1949 r. wszystkie obowiązki spadły na nią, tak więc moja młodsza siostra Maria i ja na spacerach chodziliśmy prawie zawsze z panią Przybyłowiczową i jej dziećmi. To ona nauczyła nas wielu ludowych, pięknych nazw kwiatów i roślin: *Matki Boskiej pantofelki* (rodzaj drobnej żółtopomarańczowej dzikiej lwiej paszczy) czy *Matki Boskiej łezki* (trawa o sercowatych kłoskach). Jakże nijako i bezbarwnie brzmią naukowe nazwy obu tych roślin: lnicia pospolita (łacińska nazwa *linaria vulgaris*) i drżączka średnia (po łacinie: *briza media*). To od pani Przybyłowiczowej dowiedziałem się, że chaber, modrak i bławatek to synonimy oznaczające ten sam kwiat. Jako uczeń III klasy wziąłem udział w radiowym konkursie botanicznym i wygrałem książeczkę *Puc, Bursztyn i goście* Jana Grabowskiego. Moja pasja botaniczna trwa nadal. Wśród materiałów fotograficznych z dalekich podróży najbardziej sobie cenię te, które ukazują piękno miejscowej flory. A miłość ta narodziła się właśnie nad Łupią...

Pani Przybyłowiczowa opowiadała nam też o „południcach” wędrujących po polach w samo południe i porywających dzieci, które o tej porze, miast przykładowie spędzać czas w domu lub na podwórku w towarzystwie rodziców lub starszego rodzeństwa, samowolnie wyruszają w pole. To samo miały robić „wieczornice”, czyli wiedźmy grasujące w polu po zapadnięciu zmroku. „Wieczornice” sobie darowałem, ale strasznie mnie korciło, żeby spotkać się z „południcą”, zobaczyć, jak taka wiedźma wygląda i jak zareaguje na mój widok. Któregoś letniego dnia, dokładnie w samo południe, niepostrzeżenie wymknąłem się z domu. Pobieglem miedzą ku rzece, na górze skręciłem w lewo, w sam środek dojrzewającego żyta. Przedzierając się przez łąn zboża, szedłem rozglądając się trwożnie naokoło, z duszą na ramieniu, a tu nic, żadnej „południcy”! Brnę dalej, już jakoś spokojniej, a tu przede mną trofeum: piękny, ciemnoróżowy, niemal bordowy bławatek! Prezent za odwagę od niewidzialnej „południcy”?

Z lat przedszkolnych pamiętam także podróż wozem dziadka na jarmark do Skierniewic. Dziadek, Franciszek Łazęcki, miał zawsze piękne i zadbane konie. Może jechał na jarmark, by właśnie kupić konia. Jechała z nami mama. Było bardzo mgliste jesienne przedpołudnie: istne mleko rozlane dookoła! Z gęstej mgły ledwie wylaniały się niewyraźne kontury ludzi, koni, powozów. Wyglądało to bardzo tajemniczo i jakoś nierealnie. Mama zostawiła mnie z dziadkiem w tej mgle i gdzieś poszła. Wróciła z jakąś książeczką i wręczając mi ją, rzekła: „To pierwsza książeczka w twoim życiu”. Była to rymowana opowiadka *O murzyнку Sambo i wężu Tambo*. Napisał ją oraz ilustrował Zygmunt Kosmowski. Brak danych wydawniczych. Rzecz zaczyna się tak:

Nasz murzynek — Sambo mały
jest w humorze przez dzień cały,
skoro tylko słońko wstanie
idzie Sambo na śniadanie...

Wszyscy Samba tu kochają
i banany mu zrywają:
słoń, żyrafa z długą szyją,
małpki też z nim w zgodzie żyją.

Tylko wielki wąż „niecnota” —
dziwna przyszła mu ochota,
żeby Samba dziś nastraszyć,
postanowił w gąszcz się zaszyć...

A gdy Sambo był już blisko,
wąż opuścił legowisko,
sycząc sunął w jego stronę
i o ziemię bił ogonem.

Historyjka kończy się happy endem: Sambo zdażył uciec do swych przyjaciół zwierząt, którym opowiedział swoją przygodę. Lew obiecał przykładnie ukarać węża Tambo. Przechowuję tę książeczkę do dzisiaj i choć cała poklejona i mocno nadgryziona zębem czasu, leży na dnie rzeźbionej kasety, ozdobionej profilem górala i szarotkami. Tę kasetę kupiła mi mama w 1950 r. podczas pielgrzymki do Częstochowy. Owa wyprawa wozem do miasta była chyba pierwszą moją wyprawą w nieznane.

LATA SZKOLNE

W 1948 r. zacząłem chodzić do Szkoły Powszechnej Nr 4, przy ulicy Bielańskiej w Skierniewicach. Był to długi parterowy budynek z ciemnoczerwonej cegły, z podłogami pokrytymi grubą warstwą czarnego pyłochłonu, o mocnym, nieprzyjemnym zapachu. W pierwszej klasie jeszcze wisiły krucyfiksy, śpiewaliśmy „Kiedy ranne wstają zorze”, odmawialiśmy specjalne modlitwy przed lekcjami i po ich zakończeniu oraz przed i po jedzeniu (w szkole

dostawaliśmy zupe). To wszystko skończyło się w drugiej klasie. We wrześniu 1949 r. zamiast krzyża pojawiły się trzy portrety: Bieruta, Cyrankiewicza i Rokossowskiego i wisiały aż do końca siódmej klasy w 1955 r. Moją wychowawczynią była przez cały okres nauki w tej szkole pani Anna Krasocka, która do klasy V uczyła nas wszystkich przedmiotów i była dla mnie przede wszystkim świetną polonistką, a także znakomicie prowadziła chór szkolny. Podczas każdej uroczystości rozpoczęcia roku szkolnego śpiewaliśmy piękną *Pieśń o szkole* ze słowami Kornela Makuszyńskiego: „Słyszycie, dzwonek na was woła, / Ma w głosie radość rozśpiewaną! / To ja was wołam, wasza szkoła, / W to wasze pierwsze szkolne rano!” Któż teraz zna tę piosenkę? Kto ją jeszcze śpiewa? Chyba nikt! W repertuarze chóru były polskie pieśni ludowe, kilka pieśni Moniuszki, *Życzenie* Chopina i szereg pieśni dziecięcych pochodzących ze *Śpiewnika dla dzieci* ze słowami Marii Konopnickiej i muzyką Zygmunta Noskowskiego. Te najbardziej przemawiały do mojej wyobraźni. Poezja Konopnickiej jest tak nasycona barwami, tak piękna w swojej prostocie, tak znakomicie maluje polski pejzaż, zaś muzyka Noskowskiego, czerpiąc ze skarbcza polskiej muzyki ludowej, doskonale dostosowuje się do tej poezji. Spośród wielu piosenek z tego cyklu śpiewanych przez nasz chór szkolny, dwie urzekły mnie najbardziej: „Zawitał nam dzionek/ i pogodny czas. / Pójdziemy, pójdziemy/ na jagody w las!” i „Za tą głębią, za tym brodem/ tam stanęła rzeka lodem./ Ani szumi, ani płynie, / tylko дума w swej głębinie”. Dotąd, gdy je słyszę, czuję jakiś dreszcz emocji przebiegający mi po plecach.

Były ponadto pieśni patriotyczne i dużo piosenek radzieckich z *Hymnem Związku Radzieckiego* na czele. *Hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej* (ŚFMD) zaczynający się od słów: „Naprzód młodzieży świata!”, śpiewany był przed lekcjami, na apelach porannych. Podczas śpiewania tego hymnu niektórzy chłopcy zamiast śpiewać: „Nie zna granic ni kordonów pieśni zew...”, śpiewali: „... pies mi zdechl”. Wielce komiczne było i to, że za spóźnienie na apel (a zdarzało mi się to dość często), trzeba było za karę odśpiewać (czasem solo) ów *Hymn Światowej Federacji Młodzieży Demokratycznej*. Do dziś wprawia mnie to w wesołość, bo osoba, która mnie do tego zmuszała (szef tak zwanej Organizacji Harcerskiej) wyobrażał sobie, że to będzie dla mnie wielka kara. Nie wiedział, biedaczek, że lubiłem śpiewać i nawet taki knot jak „Hymn ŚFMD” śpiewałem mu nienagannie. Spośród państwowotwórczych piosenek napisanych już po wojnie w PRL-u śpiewaliśmy między innymi *Budujemy polską wieś* (kompozycja Jana Maklakiewicza!) i *Pochód przyjaźni* („Ani góry wysokie, ani morza głębokie nie wstrzymają pochodu przyjaźni...”), z muzyką Tadeusza Sygietyńskiego (sic!). Zarówno te ostatnie, polsko-ludowe, jak i radzieckie charakteryzowały się zupełnie ładną melodią i absolutnie niedorzecznymi, zwłaszcza dla młodzieży, słowami.

Pani Anna Krasocka upodobała sobie szczególnie *Pieśń pracy* (autor: J. Schehn, układ: B. Rutkowski). To od niej zaczynały się chyba wszystkie występy naszego chóru. Muzyka marszowa, wspaniała, ale te słowa, mój Boże! Cytuję:

Hej, wzniesmy, bracia, wolny śpiew,
niech w żyłach ludu zagra krew, radosną głosim wieść:
zamilknie wrogów niecną zgrzyt, wolności nam zabłyśnie świt,
cześć pracy, cześć, cześć pracy, cześć!

My zwartą ławą pójdziem w bój,
nie będzie próżnym krwawy znój, zwycięstwa zabrzmi wieść:
więziennych runie siła krat, zdobędziem sobie wolny świat,
cześć pracy, cześć, cześć pracy, cześć!

Nasza pani wychowawczyni organizowała wszelkie akademie, na których często zdarzało mi się recytować wiersze nie tylko Mickiewicza, Puszkina i Konopnickiej, ale także Majakowskiego i Broniewskiego. Założyła też „Doświadczalny Ogródek Miczurinowski” przy szkole. Każdy z nas miał tam swoją grządkę z tabliczką, na której figurowało nazwisko i nazwa uprawianej rośliny. Ja uprawiałem słonecznik oleisty. Mój najstarszy brat, Stanisław, studiował już wtedy architekturę. Zrobił mi tabliczkę, na której pięknie wymalował czarnym tuszem kwiat słonecznika, wypisał jego nazwę oraz moje imię i nazwisko. Byłem bardzo dumny ze swojej grządki, bo moje słoneczniki były naprawdę dorodne.

Od piątej klasy języka rosyjskiego zaczęła nas uczyć pani Skupińska. W czwartej mieliśmy już pierwsze lekcje tego języka z panią Krasocką. Nie wiem, jakim cudem pani Skupińska potrafiła nauczyć nas w tym apogeum stalinizmu w ciągu trzech lat (aż do siódmej klasy włącznie) samych pięknych wierszy największych poetów rosyjskich, w tym *Striekoza i murawiej* Kryłowa, *Skwoz wolnistyje tumany probirajetsa luna* Puszkina, *Bielejet parus odinokij* Lermontowa i innych. Dokonała znacznie więcej w tej dziedzinie, niż moje późniejsze nauczycielki rosyjskiego w liceum i na uniwersytecie (bo i tam był to przedmiot obowiązkowy przez dwa lata).

W szóstej i siódmej klasie języka polskiego uczyła nas pani Ewa Ferencowa. Była znakomitą polonistką i świetnie nauczyła nas gramatyki. Jeśli chodzi o literaturę, oprócz klasyki polskiej musieliśmy, niestety, „przełknąć” teksty o Engelsie, Dzierżyńskim, Marchlewskim, Leninie, współzawodnictwie pracy wśród górników (o niejaki Pstrowskim), teksty Wasilewskiej, Katajewa (*Syn pułku*), *Wspomnienia o Marksie* Lafargue’a i Liebknechta, wiersze Broniewskiego, Majakowskiego, St. R. Dobrowolskiego, Leona Pasternaka, a także teksty Bieruta i tym podobnych. W wypracowaniach domowych zaczęła panoszyć się na dobre straszna **nowomowa**, zbitki i sformułowania typu: walka o pokój, walka o dobrobyt, walka o dalszą drogę do dobrobytu, niesprawiedliwość społeczna, budowa socjalizmu, ciężka dola chłopu, niedola ludu, należy wykonać zwycięsko plan 6-letni, rozszerzyć i pogłębić współzawodnictwo pracy, wypłenić wrogów narodu, musimy zlikwidować w swojej klasie leniów, magnaci są egoistami, bezecnymi wyrodkami, Judaszami, bo dbają tylko o siebie, każdy człowiek w USA głoszący hasła polityczne jest skazany na katorgę, mieszkanie dla robotnika w Polsce Ludowej

jest ogrzewane kaloryferami, nasi górnicy biorą przykład z przodujących na świecie górników radzieckich z Zagłębia Donieckiego, wychowanych w duchu „Komsomołu” — toż to zgroza, włos się jeży! To fragmenty z zeszytu z lat 1953/1954, już po śmierci Stalina. Ten język, na szczęście, zmienił się zasadniczo po Polskim Październiku w 1956 r., gdy do władzy doszedł Gomułka.

W okresie Świąt Bożego Narodzenia organizowano „choinki” dla dzieci, którym cukierki i owoce wręczał **Dziadek Mróz**, a nie żaden św. Mikołaj. Spazmatyczny śmiech mnie ogarnia, gdy sobie przypominę, że choinki były ozdobione wyłącznie „gołąbkami pokoju” i ... szóstkami: po prostu na gałązkach choinek wisiały wycięte z białego kartonu cyfry 6, symbol ówczesnie realizowanego Planu Sześcioletniego (1950–1955).

Mimo dobrych ocen nie byłem wzorowym uczniem. Panie nauczycielki miały ze mną sporo kłopotów: często bywałem niezdolny, rozmawiałem i śmiałem się na lekcjach, a moje zatargi, a nawet bójki z kolegami były niemal chlebem powszednim. Szczególnie wspominany, jeszcze obecnie, jest mój „wyczyn” związany z podpowiadaniem osobom zagrożonym dwójką z geografii. W tym celu zająłem strategiczną pozycję ukryty za wielką nową mapą tak zwanych „krajów demokracji ludowej”. Mapa była do samej ziemi. Żeby było jeszcze ciekawiej, wymyśliłem, że dodatkowo będę nakłuwał agrafką – od tyłu naturalnie – miejsca, o które zapyta pani Jagiełłowa. Pierwszy delikwent był pytany o Węgry. Nakłułem więc idealnie Budapeszt, ale gdy potem chciałem nakłuć Balaton, to miejsce okazało się jakoś dziwnie twarde. Mapa zaczęła się podejrzanie ruszać. Zostałem wykryty, a pani Jagiełłowa, ujrawszy mnie za mapą, zgodnie z panującą nowomową, zawołała zgorszona: „Już o nic więcej mi nie chodzi, tylko o to, że niszczysz **dobro społeczne!**”

Do klasy piątej włącznie, poza lekcjami w szkole, gdy tylko zaczynał się sezon, a więc już w końcu kwietnia, wypędzałem stadko kóz na łączki nad Łupią. Pobrzękiwały łańcuchy, na Górnej Drodze unosił się nad stadkiem tuman kurzu. Pilnując kóz, zagłębiałem się w lekturze, a gdy robiło się ciepło, już w połowie czerwca, wiązałem kozy i rozkoszowałem się kąpielą na „Babskim Dołku”. Było to dość głębokie miejsce w zakolu Łupi. Kończył się tam pięknie obsadzony płaczącymi wierzbami przez pana Mąkolskiego (jego żona była kuzynką mojej mamy) duży półwysep na jego posesji, od strony ulicy Ławki (dziś wciąż jeszcze Waryńskiego). Nad samą rzeką rosły krzaki czerwonych porzeczek. Kąpiel na „Babskim Dołku” o każdej niemal porze dnia, a także wieczorem, stała się moją pasją. Przesadziłem: przeziębilem się, nastąpiły jakieś komplikacje w płucach i w październiku 1952 r., gdy byłem w piątej klasie, pojechałem odwieszony przez brata Stanisława na leczenie do Szklarskiej Poręby Górnej. Poprzednio byłem dwukrotnie bardzo krótko w Warszawie, w 1950 i 1951 r., i to doszczętnie wówczas zrujnowane miasto, jedno wielkie rumowisko, bardzo mnie wówczas przygnębiło. Teraz, jako jedenastoletni chłopiec z mazowieckich nizin, po raz pierwszy ruszałem w góry.

Już pojedyncze wzniesienia wokół Wałbrzycha, a potem Rudawy Janowickie wydały mi się czymś niesamowicie frapującym. Jeszcze nie wiedziałem, że z okna mojego pokoju w położonym na stoku Domu Wypoczynkowym FWP ZZK (później FWP Zdrowie), przy ulicy Partyzantów 476, będę miał przepiękny widok na najwyższe partie zachodnich Karkonoszy — Szrenicę i Śnieżne Kotły. Mój pokój był na trzecim piętrze. Okno wychodziło na nasłonecznioną południową stronę i miałem wrażenie, że góry same wdzierają się do mego pokoju. To było coś cudownego!

Był to 1952 r., co jeszcze raz podkreślam. Komunistyczna administracja PRL-u jeszcze nie zdążyła zniszczyć pięknych wnętrz tych poniemieckich wspaniałych budynków. Na parterze był mały, otoczony palmami basen z tryskającą pośrodku fontanną i pięknymi kolorowymi rybami śmigającymi wewnątrz. Nie mogłem się na nie napatrzeć! Jadalnia mieściła się na oszklonej, przestronnej werandzie, wśród wyniosłych świerków, po których uganiały się czarne wiewiórki. Najbliższa okolica owego Domu ZZK to piękne łąki poprzecinane rwącymi potokami — sceneria łącie schubertowska! Dalej, skupiska skał o fantastycznych kształtach: Białe Skały nad stacją kolejową, z ich basztami i wieżami, Krucze Skały z pięknymi punktami widokowymi, wreszcie Wodospad Kamieńczyka. Na przełaj przez las próbowałem wdrapać się na szczyt Szrenicy, ale wtedy mi się to nie udało. Jakże smutne, że były Dom ZZK, a za czasów niemieckich luksusowe sanatorium Hochstein (Wysoki Kamień) lub Kuranstalt Schreiberhau (Zakład Lecznicy Szklarska Poręba) teraz w zupełnej ruinie: od września 2009 r. opuszczony i zamknięty na głucho...

Był to okres, kiedy fetowano 35. rocznicę Rewolucji Październikowej i w Domu ZZK zorganizowano z tej okazji konkurs recytatorski. Piękna kruszowłosa pani Ala Stępniaówna, studentka polonistyki na KUL-u w Lublinie (byłem w niej autentycznie i pierwszy raz w życiu zakochany!), przygotowywała mnie do tego konkursu. Recytowałem *Lewą marsz!* Majakowskiego w tłumaczeniu Antoniego Słonimskiego i *Pokłon Rewolucji Październikowej* Władysława Broniewskiego. Zająłem I miejsce (a byłem najmłodszym uczestnikiem) i w nagrodę dostałem oprawny w szarą skórę tom *Wierszy i poematów* Majakowskiego, wydany przez Książkę i Wiedzę w Warszawie w 1949 r. Co jednak najważniejsze to fakt, że od owego pobytu w Szklarskiej Porębie zaczęła się moja wielka miłość do gór, miłość, która trwa i kwitnie nieustannie do dzisiaj.

Od ostatnich klas szkoły powszechnej urządzałem coraz dłuższe spacery doliną Łupi, czasem w towarzystwie mojej siostry oraz Krysi i Kazia Przybyłowiczów. Kiedyś wczesną wiosną wybraliśmy się razem na długą wycieczkę. Doszliśmy prawym brzegiem rzeki do młyna pana Frączkowskiego, przeszliśmy przez most i wracaliśmy lewym brzegiem. Nagle pojawiła się na niebie ciemnogranałowa wielka chmura i zaczęły spadać pierwsze grube krople deszczu. Puściliśmy się biegiem w obawie przed zmoknięciem. W pewnej

chwili mignął mi przed oczami po prawej fioletowy dywan. Skręciłem więc w jego stronę i ujrzałem oba zbocza małej uroczej dolinki, której dnem sączył się strumyk, całe pokryte fiołkami. Mimo padającego już deszczu zerwaliśmy po bukietu i odtąd przez kilka następnych lat wracaliśmy nie tylko wiosną do naszej fiołkowej doliny.

Zimy w latach 50. i 60. były bardzo śnieżne i mroźne. Niemal codziennie zjeżdżaliśmy na sankach z górki przy młynie pana Cieplińskiego. Dość często w takie zimowe dni chodziłem z mamą i siostrą do rodziny na Starbacichę. Wracaliśmy prawie zawsze, gdy było już ciemno. Jakże piękne były te rozgwieżdżone noce z poświatą księżyca iskrzącą się srebrzyście na grubym śnieżnym kobiercu! Później wyciągałem na takie nocne zimowe wędrówki Kazia Przybyłowicza. Kazio, jak się wyraziła moja hiszpańska teściowa oglądając fotografię z 1958 r., na której jestem razem z nim na tle dworku Chopina w Żelazowej Woli, był „moją maskotką”, a tak naprawdę znakomitym kompanem wszelkich wędrówek i jednym z najaktywniejszych zuchów w mojej drużynie. W naszych nocnych włóczęgach docieraliśmy czasem aż do Woli Makowskiej. Raz wpadłem na szalony pomysł, by wyruszyć z domu przed szóstą rano. Był to początek grudnia. Poszliśmy na przełaj przez zaśnieżone pola i Puszcę Bolimowską w stronę Rawki. Wędrując tak przez las nagle stanęliśmy na skraju głębokiego jaru porośniętego lasem jesionowo-olszowym. Na jego dnie było źródło. Wracałem tam potem w różnych porach roku. Wiosną przy źródle zawsze kwitła kępa kaczeńców. W 1980 r. utworzono na tym obszarze rezerwat przyrody „Kopanicha”.

Łupia w latach 50. nie była wcale taką spokojną rzeczka. Prawie co roku pod koniec zimy, gdy topniał lód, tworzyły się zatory lodowe i dość gwałtownie wylewała na zbocza doliny. W słoneczne marcowe dni widok z góry na te zwały lodu i szeroko rozlaną rzekę był zaiste imponujący. Ulubioną zabawą chłopców było żeglowanie na krach lodowych niczym tratwach. Odpychali się od dna długimi kijami. Raz taka zabawa skończyła się dla mnie dość nieprzyjemnie: kra okazała się zbyt krucha i wpadłem do lodowatej wody w zimowym ubraniu. Zaręczam, że nie była to miła kąpiel, a jeszcze miałem przed sobą drogę do domu w tym zamarzającym na mnie ubraniu, nieprzyjemnie szeleszczącym przy każdym ruchu. Jak łatwo sobie wyobrazić, mama nie była szczęśliwa, widząc mnie w takim stanie. Cudem nie rozchorowałem się po tej przygodzie.

Lato, wczesne lato nad Łupią! Słoneczny lipcowy dzień. Gra światłocieni na powierzchni wody. Wśród cienia rzucanego przez gałęzie olch, świetliste plamy słońca i ryby przemykające przez te złotozielone „oczka”. To jeden z najpiękniejszych obrazów z mej wczesnej młodości. Tyle potem widziałem wspaniałości, ale ten obraz pozostał w mej pamięci na stałe. Gdy byłem chyba w szóstej klasie, w naszym gospodarstwie zamiast kóz pojawiły się dwie krowy, które wypędzaliśmy już wtedy na nasze pole, na końcu ulicy Nowobielańskiej, pod samą Puszcą Bolimowską (teraz na tym miejscu jest

boisko LZS-u). Droga była długa, blisko 3 km. Wiodła wśród pól tak zwaną „granicą” oddzielającą miasto od wsi Starbacicha. Za Starbacichą, bliżej lasu, były „górki”, czyli bardzo nieznacznie wyniesiony piaszczysty wał, dokąd chodziło się po żółty piasek do posypywania zamiecionej podwórka i całego obejścia na Święta Wielkanocne. Stamtąd było wówczas dobrze widzieć barokową wieżę kościoła św. Wojciecha z 1770 r. w Makowie, wystającą ponad drzewami Zwierzyńca, daleko na horyzoncie.

W czasie wakacji oraz w niedziele i święta wypędzaliśmy krowy dwukrotnie: rano i po południu. Wiązałem je na ugorze, w łubinie lub saradeli (my mówiliśmy w saladerze) i czytałem, albo uczyłem się. Zawsze zabierałem ze sobą jakieś książki. Kiedyś zapomniałem o bożym świecie podczas lektury jakiejś bardzo ciekawej książki, a gdy wreszcie podniosłem znad niej głowę, zobaczyłem obok krów sarnę skubiącą spokojnie saradelę. Innym razem, na polu, blisko drogi zwanej „Traktem Bolimowskim” pilnując krów, uczyłem się na pamięć jakiegoś tekstu francuskiego, który głośno powtarzałem. Droga wracały właśnie na Borowiny czy Wólkę Łasiecką dwie kobiety na rowerach i usłyszałem jak jedna z nich skomentowała: „Gada po jakimuś!”

Trudno było jednak cały czas czytać i uczyć się. Teraz nadarzała się doskonała okazja do poznania wspaniałego lasu. Oczywiście, często chodziłem na jagody i grzyby, a grzybów było wtedy dużo i były dorodne! Któregoś dnia wspiałem się na strzelnicę i ponad konarami drzew, bardzo daleko na horyzoncie, ujrzałem wierzchołek jakiejś wieży. Zaintrygowała mnie. Zapamiętałem kierunek, wytyczyłem go sobie w głowie i na przełaj przez las doszedłem do stóp tej wieży triangulacyjnej, która stała na najwyższym wzniesieniu Puszczy Bolimowskiej, dość blisko gajówki Kaczew. Dotąd są po niej ślady. Chciałem wejść po drabinach na sam szczyt, by obejrzeć z góry panoramę puszczy i okolic, ale właśnie w momencie, gdy stawiałem nogę na pierwszym szczyblu, z góry rozległ się bardzo kateryczny męski głos: „Nie wchodzi! Nie wolno!”. Wtedy udało mi się wrócić do krów i pognać je do domowej zagrody, ale innym razem poszedłem przez las aż na Budy Grabskie, do Janusza Reszki, który spędzał tam wakacje w wiejskiej chacie należącej do jego rodziców. Zrobiło się tak późno, że musiałem tam zanoć. Wróciłem do domu nazajutrz wczesnym rankiem, ale, na szczęście, nic się nie stało: mama przyprowadziła krowy do domu i była lekko zaniepokojona moją nieobecnością.

Pierwszy mój wyjazd na wakacje odbył się po ukończeniu szóstej klasy. Wybrano wtedy po jednym chłopcu z każdej szkoły powszechnej w Skierniewicach (z wyjątkiem Szkoły nr 3). Ze Szkoły nr 4 wybrano mnie. Pojechalśmy do Grotnik koło Zgierza na kolonię Polonii. Połowę uczestników stanowili chłopcy z Francji, Belgii i Austrii, z rodzin polskiego pochodzenia, a drugą połowę najlepsi uczniowie ze szkół województwa łódzkiego. Był to 1954 r. Kontrast był duży: my biedni, skromni, szarzy, oni, w zestawieniu z nami, wręcz zamożni, w każdym razie o wiele lepiej ubrani i wyekwipowani.

Górowaliśmy za to nad nimi, jak mi się wydaje, poziomem intelektualnym. Był to mój pierwszy kontakt z językiem francuskim. Chłopcy z Francji (była ich większość: z Belgii i Austrii było tylko po parę osób) mówili do nas kulawą gwara polską, a między sobą wyłącznie po francusku. Na naszą prośbę, by coś zaśpiewali, śpiewali zawsze jedną i tę samą piosenkę z repertuaru Louisa Mariano. Pierwsze jej słowa brzmiały:

*Il était une fois une fille du roi
au coeur plein de tristesse...*
(Była sobie raz królewna, której serce wypełniał smutek).
Zaś refren był taki:

*Rossignol, rossignol de mes amours,
dès que minuit sonnera, quand la lune brillera
et l'amour viendra peut-être!*
(Słowiku, mój ukochany słowiku, gdy północ wybije, gdy księżyc zabłyśnie, może i miłość nadejdzie!).

W odpowiedzi staraliśmy się im zaimponować, śpiewając bardzo u nas wtedy znaną — z wiadomych powodów — *Pieśń dokerów francuskich*, której refren brzmiał: *C'est la chanson des dockers*, ... (Dokerów pieśń nad Francją brzmi...). Ku naszemu zdziwieniu nasi Francuzi bladego pojęcia nie mieli o tej „pieśni”.

Okolica była dość ładna: sosnowe lasy, ale jakieś wydeptane, mała rzeczka Linda i zalew, który tworzyła w środku lasu, drewniane przedwojenne wille należące niegdyś do bogatych łodzian.

Rok później, w 1955 r., ukończyłem szkołę powszechną. Już po zakończeniu roku szkolnego i rozdaniu świadectw, w piękny czerwcowy dzień nasz chór szkolny z panią Krasocką jako dyrygentką odbywał odkrytą ciężarówką tournée artystyczne po powiecie skierniewickim. Śpiewaliśmy w kilku nieznanych mi przedtem wsiach: Jeruzalu, Woli Pękoszewskiej, Kowiesach... Pamiętam doskonale złote łany zbóż, całe rzędy drzew czereśniowych wzdłuż dróg (czereśnie były dojrzałe i usiłowaliśmy zrywać je z ciężarówki w trakcie jazdy), tu i ówdzie laski sosnowe, przepiękny letni pejzaż!

Dwie rzeczy przede wszystkim sprawiły, że miło wspominam obóz zorganizowany przez skierniewicki Dom Harcerza w sierpniu 1955 r.. Po pierwsze, piękne miejsce: Teofilów nad Pilicą, między Spałą a Inowłodzem. Mieszkaliśmy w namiotach rozbitych na wspaniałej łące porośniętej gęsto smukłymi jałowcami i „gromnicznymi” (by użyć określenia Jana Kasprowicza) dziewannami, o jakieś pół kilometra od Pilicy, pięknej wówczas i bardzo czystej rzeki o piaszczystym, złotym dnie. Po drugie, była z nami pani Laura Szeferowa i jej znakomite, urocze chórzystki.

Spośród piosenek przez nie śpiewanych najbardziej utkwiła mi w pamięci meksykańska *La paloma*, którą wykonywały niby to „po hiszpańsku”. Zapiisałem sobie wówczas te „hiszpańskie” słowa i gdy zacząłem się uczyć

tego języka na Uniwersytecie Warszawskim (był to 1959 r.), odważyłem się zaśpiewać ją na lektoracie. Lektorka, pani mgr Krystyna Niklewiczówna, złapała się za głowę! Okazało się, że słowa były tak zdeformowane i nagięte do polskiej wymowy, że niewiele przypominały poprawną wersję hiszpańską. W Teofilowie mieliśmy cały czas, jak na zamówienie, piękną, słoneczną pogodę.

We wrześniu 1955 r. zacząłem naukę w Liceum Ogólnokształcącym im. Bolesława Prusa w Skierniewicach. Najprzyjemniej wspominam lekcje polskiego z panią Anną Drozdową. Niestety, mieliśmy je tylko w dziewiątej klasie. Zapaliłem się bardzo do nauki francuskiego, ale nasza nauczycielka, Belgijka, pani Ida Lombard-Iwicka, była już wtedy starszą panią i często cierpiała na migrenę, wobec czego ograniczała się do zadawania nam fragmentów z podręcznika, a sama siadała przy oknie i zagłębiała się w lekturze prasy francuskiej i belgijskiej. Dynamiczne i bardzo żywe były lekcje chemii z panią Danutą Drzewiecką. Lubilem też geografę, którą prowadziła pani Ida Pietlicka. W sierpniu 1957 r. miałem jechać na obóz harcerski do Sulejowa, ale w ostatniej chwili okazało się to niemożliwe: z jakichś powodów odwołano ten obóz. W tej sytuacji zdecydowałem się dołączyć do grupki młodszych nieco ode mnie kolegów, którzy jechali do Cieplic Śląskich Zdroju na obóz drużynowych zuchów. Obóz rozbito na tak zwanych Dolnych Skalkach, w świerkowym lesie, tuż przy jego skraju. Po wyjściu z lasu na pierwszym planie błyszczały w słońcu tafle dużych Stawów Podgórzyńskich, a za nimi pięknie prezentowała się panorama wschodnich Karkonoszy z najwyższym szczytem Śnieżką. Wśród lasu gęsto rozsiane były grupy skał. Niezapomniana, cudowna atmosfera panująca na tym obozie rychło udzieliła się uczestnikom. Od 10 miesięcy trwała już wtedy w Polsce „wielka odwilż”, po dojściu do władzy Gomułki. Nastąpiła ogromna liberalizacja, która trwała krótko, ale wówczas osiągnęła swoje apogeum. Wielu przedwojennych instruktorów harcerskich i zuchowych wyszło z podziemia, a wraz z nimi wróciły dawne, piękne patriotyczne tradycje. Tacy właśnie przedwojenni instruktorzy uczyli nas, jak zostać dobrymi drużynowymi zuchów. Były nastrojowe gawędy przy ognisku, urocze piosenki i płasy zuchowe, całe bardzo fachowe i atrakcyjne zarazem wykłady na temat historii harcerstwa, zdobywania sprawności zuchowych, a wszystko w atmosferze wspaniałego braterstwa i wielkiej serdeczności.

Tak bardzo wciągnęła mnie zdobyta na tym obozie wiedza nie tylko teoretyczna, ale i praktyczna (prowadziliśmy już sami zbiórki z zuchami zgrupowanymi w jednej ze szkół w Cieplicach), że natychmiast po powrocie do Skierniewic zorganizowałem drużynę zuchową „Indian Apaczów” przy Szkole Podstawowej Nr 4, którą dwa lata wcześniej ukończyłem. Obłożony przywiezionymi z Cieplic materiałami i notatkami z wykładów bardzo sumiennie przygotowywałem każdą zbiórkę prowadząc systematycznie książkę drużynowego. Moje zuchy licznie i z wielką ochotą przybiegały co niedziela na zbiórki. Trwało to aż do czerwca 1958 r. Przez ten czas chłopcy zdobyli

kilka sprawności, nauczyli się wielu gier, płaśów i piosenek. Większość zbiorów odbywała się w plenerze: w Parku Miejskim na wzgórzu obok Pałacyku Myśliwskiego, w Puszczy Bolimowskiej lub w Zwierzyńcu. Przysięga zuchowa odbyła się jesienną nocą 1957 r. w Puszczy Bolimowskiej. Nieskromnie stwierdzam, że moja drużyna była przodującą na terenie Hufca ZHP w Skierniewicach. Kierownictwo Szkoły Podstawowej Nr 4 przyznało mi w nagrodę książkę Wacława Borowego *Od Kochanowskiego do Staffa. Antologia liryki polskiej*, z następującym wpisem: „Wojskiemu Zygmuntowi, drużynowemu «Zuchów» przy Szkole Podstawowej Nr 4 w Skierniewicach, w dowód uznania i podziękowania za bardzo dobrą i skuteczną pracę w drużynie. Kierownik szkoły, Józef Mazur (podpis nieczytelny), Skierniewice, dnia 24 VI 1958 r.” Organizatorzy pochodu pierwszomajowego w 1958 r. zdecydowali, że to moi „Apacze” będą maszerowali jako pierwsi, otwierając cały pochód. Na tę okazję przygotowaliśmy specjalne indiańskie rekwizyty: pióropusze i tomahawki. Te ostatnie wykonał dla nas pan Wiesław Ryk w kierowanym przez siebie tartaku.

Tak bardzo zaangażowałem się w tę działalność zuchową, że zaniedbałem naukę (a byłem wówczas w X klasie). Mama, zaniepokojona moimi słabymi stopniami z przedmiotów ścisłych, zwłaszcza z matematyki, przekonała mnie o konieczności rozstania się w klasie maturalnej z funkcją drużynowego zuchów. W lipcu 1958 r. pojechałem jednak jeszcze na obóz harcerski zorganizowany przez skierniewicką Komendę Hufca ZHP nad morzem, w Poddębii koło Ustki. Miejsce było piękne: mała polana pośród sosnowo-bukowego lasu. Ścieżką między bukami, gdzie pełzały duże, czarne ślimaki, wychodziło się na skraj dość wysokiej skarpy, skąd rozpościerał się wspaniały widok na bezmiar wód Bałtyku. Było to moje pierwsze w życiu spotkanie z morzem: zrobiło na mnie ogromne wrażenie, ale tylko na początku. Inaczej z górami, które fascynują mnie bezustannie. Morze po jakimś czasie nieco powszedniejsze, staje się trochę monotonne, obce, być może poprzez niemożliwość bezpośredniego z nim kontaktu — plaża, brzeg to za mało!

Ustny egzamin maturalny miałem zdawać 2 czerwca 1959 r., po południu. Tego samego dnia rano, wzięwszy ze sobą koc i kilka podręczników, udałem się do sosnowego lasu na lewym brzegu Łupi, gdzie jeszcze nerwowo i raczej bezskutecznie próbowałem wbić sobie do głowy jakieś wiadomości. Gdy wracałem przez most na Łupi, wybiegła z domu pani Cieplińska z okrzykiem: „Zygmus, ty dzisiaj zdajesz maturę. Poczekaj, dam ci coś na uspokojenie!” i na środku mostu wlała mi do ust dwie łyżki stołowe bromu. Nie wiem, na ile to prawda, ale ktoś mi potem mówił, że ten środek powoduje także zaćmienie umysłu. Faktem jest, że niezbyt błyskotliwie odpowiadałem z matematyki, która w dwóch ostatnich klasach licealnych była moją piętą achillesową.

Zaraz po maturze postanowiłem wziąć się solidnie za francuski: za miesiąc miałem egzamin wstępny na romanistykę. Zdawałem sobie dobrze

sprawę, że moja znajomość tego języka nie jest nadzwyczajna. Idąc za radą mojej nauczycielki francuskiego, pani prof. Iwickiej, udałem się na ulicę Świerczewskiego (obecnie Senatorska) do pani Anieli Oskierczanki, która mieszkała w kamienicy naprzeciwko plebanii, na piętrze. Po dłuższym namyśle zgodziła się udzielać mi korepetycji z francuskiego. Chodziłem do niej codziennie przez cały miesiąc i w efekcie nieźle opanowałem całą gramatykę francuską. Na biegłą konwersację nie było już czasu. Dzięki tym lekcjom pomyślnie zdałem egzamin wstępny (pisemny odbywał się w Auditorium Maximum, a ustny w Instytucie Romanistyki przy ulicy Oboźnej 8) i zostałem przyjęty na romanistykę na Uniwersytecie Warszawskim. Emocje związane z tym egzaminem przeżywałem wspólnie z panią Anielą, do której biegłem po powrocie z Warszawy prosto z dworca, by najpierw jej zdać szczegółową relację w nastroju radosnego uniesienia.

Latem, po egzaminach wstępnych, postanowiłem pojechać po raz pierwszy do Krakowa i Zakopanego. Wziąłem ze sobą tylko 100 złotych, co wówczas warto było chyba jeszcze mniej, niż dzisiaj. Nie było więc mowy o spaniu w hotelu. Kraków ogromnie mi się spodobał. Zwiedzając jego wspaniałe zabytki, natknąłem się na wycieczkę z Ukrainy i zawarłem znajomość z uroczą i bardzo przystojną brunetką. W trakcie rozmowy prowadzonej po francusku nieopatrznie zwierzyłem się jej, że jeszcze nie wiem, gdzie się zatrzymam na noc, bo nie stać mnie na hotel. Ku mojemu zaskoczeniu odparła, że będę mógł spędzić noc w hotelu „Polonia”, gdzie zanocuje ich grupa. Nie odważyłem się jednak skorzystać z tej oferty. Włóczyłem się do późnej nocy po Plantach, aż wreszcie poszedłem na dworzec, gdzie przespałem kilka godzin siedząc na ławce, z plecakiem zamiast poduszki. Obudziłem się zdrętwiały.

Rano ruszyłem pociągiem do Zakopanego, a gdy już byłem na miejscu, szlakiem z Kuźnic przez Kalatówki i Kondratową wdrapałem się na Giewont. Widoki cudowne, ale nagle rozpętała się gwałtowna burza. Na szczycie nie było już nikogo, nie było gdzie się schować. Niewiele się namyślając usiadłem pod samym żelaznym krzyżem i tylko słyszałem za sobą jakieś niepokojące urywane syki, jakby coś ześlizgiwało się błyskawicznie po tym krzyżu. Nie było to rozsądne z mojej strony i aż dziw, że cało wyszedłem z tej niebezpiecznej przygody. Zmoczony zszedłem ze szczytu do malowniczej Doliny Strążyskiej, a znalazłszy się na Polanie Strążyskiej, z trudem uprosiłem bacę, by mi pozwolił spędzić noc w szałasie pasterskim. Noc była bardzo zimna. Nazajutrz, w towarzystwie juhasa, wróciłem do Zakopanego, a wieczorem odjechałem pociągiem do domu, niemilośnie zmęczony, ale szczęśliwy, że udało mi się poznać tyle pięknych miejsc.

UNIwersYTET WARSZAWSKI

Od października 1959 r. zaczęła się dla mnie nowa epoka: studia na Uniwersytecie Warszawskim. Zamieszkałem w pięcioosobowym pokoju w akademiku przy ulicy Kickiego 9, na Grochowie (na późniejszych latach

mieszkalem w cztero- i trzyosobowym). Naprzeciwko był akademik żeński, gdzie, między innymi, prowadzono międzyuczelniany kurs tańca towarzyskiego. W męskim funkcjonowało tak zwane Kickie Radio, znane wówczas z ambitnych programów muzycznych i literackich. Ach, co to był za świat! Chodziliśmy wtedy w kowbojskich spodniach (głównie sztruksowych) z nogawkami zwięzającymi się w kolanach, a poniżej, rozszerzającymi się w tak zwany „dzwon”. Byli wśród nas tacy, którzy opanowali do perfekcji sztukę szycia takich spodni i traktowali to jako dodatkowe źródło dochodu. Mniej lub bardziej udatnie naśladowując chód amerykańskich kowbojów, snuliśmy się po długich korytarzach z książkami Sartre’a w ręku. Nie wypadało nie czytać jego dzieł. — Snobizm, moda, przejaw buntu wobec gomulłowskiej rzeczywistości? Chyba wszystko po trosze.

Specyficzny folklor akademika kwitł w tak zwanych „pokojach cichej nauki”, popularnie nazywanych niekiedy „cichcami”. W takim „cichcu” nie zawsze było cicho. W kłębach papierosowego dymu odbywały się ożywione dyskusje, które niemal wszystkich odrywały od skryptów i książek, stanowiąc swoistą atrakcję tej niby „cichej nauki”. W czasie letniej sesji egzaminacyjnej w upalne czerwcowe popołudnie 1961 czy 1962 r. doszło do osławionego incydentu z „Leonem”. Ktoś przez okno zawołał: „Leon!”, ktoś inny powtórzył i po paru minutach w każdym oknie obu długich czteropiętrowych akademików po kilka osób skandowało: „Leon, Leon...”. Wszystkich ogarnął jakiś zbiorowy szal. Skandowanie trwało ponad pół godziny. Zgorszeni mieszkańcy Grochowa wezwali „milicję obywatelską”, która jęła fotografować co aktywniejszych uczestników tego spektaklu, aż wreszcie stopniowo wszystko ucichło.

Same studia romanistyczne okazały się niezwykle interesujące. Wśród wykładowców mieliśmy kilkoro znakomitych i sławnych w świecie uczonych: prof. Mieczysława Brahmę (średniowieczna literatura francuska), prof. Halinę Lewicką (historia języka francuskiego), prof. Macieja Żurowskiego (literatura francuska XIX i XX wieku). Praktyczną naukę francuskiego doskonale prowadził repatriant z Francji mgr Lucjan Grobelak. Z zapalem zabrałem się do nauki kolejnego języka romańskiego — hiszpańskiego. Nie ograniczałem się tylko do lektoratu u pani mgr Krystyny Niklewiczówny: brałem też udział w wykładach pani Dolores Soler Bochet o poezji hiszpańskiej, a także byłem współtwórcą Koła Młodzieżowego przy Towarzystwie Przyjaciół Kultury Iberyjskiej, na ulicy Wierzbowej. W ramach działalności tego Koła wraz z moimi koleżankami z roku — Hanką Miaziohną i Izą Wańskowską wygłaszałem referaty na temat poezji hiszpańskiej XX w. Już wtedy kięłkowałem mnie myśl, że dzięki dobrej znajomości języka hiszpańskiego może uda mi się odwiedzić w Argentynie mego wujka, Stanisława Łazęckiego, który wraz z żoną Włoszką i córką wyemigrował z Włoch do Buenos Aires pod koniec lat czterdziestych. W istocie, udało mi się to we wrześniu 1973 r., czyli 14 lat później!

Uczyliśmy się nie tylko w bibliotece Instytutu Romanistyki i Ośrodka Kultury i Cywilizacji Francuskiej. Przede wszystkim w Bibliotece Uniwersyteckiej (tak zwanym popularnie BUW-ie), ale także w miejskich bibliotekach publicznych, na przykład przy ulicy Koszykowej lub przy Krypskiej, na Grochowie. Ośrodek Kultury i Cywilizacji Francuskiej, mieszczący się wówczas w tym samym budynku, co Instytut Romanistyki, przy ulicy Oboźnej 8 (obok Teatru Polskiego), organizował regularnie interesujące wykłady profesorów z Francji oraz pokazy filmów w oryginalnej wersji francuskiej. Te ostatnie wyświetlano na Wydziale Geografii przy Krakowskim Przedmieściu. Dotąd pamiętam, jak wielkie wrażenie zrobił na mnie Pies andaluzyjski Luisa Buñuela.

Nigdy w życiu nie obejrzałem tylu pięknych filmów w tak krótkim czasie co w ciągu tych kilku lat studiów i zaraz potem na Kubie. Regularnie biegałem na wszystkie klasyczne dzisiaj westerny: *Dylizans*, *W samo południe*, *Mściciel z Laramie*, filmy z Jamesem Deanem (*Na wschód od Edenu*), francuską nową falą (*Czterysta batów*) i wspaniałe powojenne polskie filmy, głównie ze Zbyszkiem Cybulskim: *Popiół i diament*, *Pociąg*, także *Pożegnania* z Tadeuszem Janczarem i Mają Wachowiak. Zbyszka Cybulskiego widziałem kiedyś wieczorem w kawiarni „Szwajcarskiej” (róg Chmielnej, wówczas Rutkowskiego i Szpitalnej): siedział samotnie nad kieliszkiem i przyjaźnie uśmiechał się do przechodniów.

Moją pasją stała się w owym czasie i nadal nią pozostała piosenka francuska i choć bilety były dość drogie, nie przepuściłem żadnej okazji, by posłuchać osobiście wszystkich koncertujących wtedy w Sali Kongresowej francuskich piosenkarzy: Jacqueline François, Lucienne Boyer, Juliette Greco, Frères Jacques... Cóż to były za wspaniałe recitale! Zapowiadał prawie zawsze Lucjan Kydryński. Chodziłem także na występy piosenkarzy hiszpańskojęzycznych, na przykład, Kubańczyka Bola de Nieve czy paragwajskiego zespołu „Los paraguayos”.

Finansowo radziłem sobie nieźle, bo, oprócz stypendium, prawie stałe miałem dodatkowy dochód z korepetycji z francuskiego, polskiego, łaciny, rosyjskiego i nawet niemieckiego. Informacje na ich temat dostawałem w Studenckiej Spółdzielni „Plastuś” działającej przy Uniwersytecie. Pozwalało mi to na luksus „obiadów czwartkowych” (wszak chodziłem na nie co czwartek) w nowo otwartym Barze „Praha” w Alejach Jerozolimskich. Taki obiad składał się z befsztyka z cebulą i kartoflami oraz kremu „sultańskiego” (z rodzynkami) lub „hiszpańskiego” (z bezami polanymi sokiem wiśniowym). Po cienkich obiadek konsumowanych w stołówkach studenckich na Kickiego lub Krakowskim Przedmieściu taki „czwartkowy obiad” w eleganckim i nowoczesnym wtedy jeszcze Barze „Praha” (później przybytek ten zamienił się w trzeciorzędną garkuchnię) był dla mnie istną delcją!

Fakt, że zadomowiłem się już na dobre w Warszawie, nie oznaczał bynajmniej, że zerwałem więzy ze Skierniewicami. Wprost przeciwnie: na początku jeździłem tam co tydzień, później już rzadziej, ale przynajmniej raz w miesiącu spędzałem 2-3 dni na Łowickiej, nie licząc świąt i wakacji letnich, które zawsze, przynajmniej częściowo, spędzałem w rodzinnym domu. Wciąż były jeszcze krowy, które w sezonie wypędzałem podczas każdej bytności pod Las Bolimowski. Kiedyś w 1962 r. odprowadziła mnie na Dworzec Śródmieście w Warszawie moja „sympatia”, Ela Pałasińska, studentka bibliotekoznawstwa. Jak się okazało, dziewczę z dużą fantazją. Tuż przed odjazdem pociągu do Skierniewic, oznajmiła: „Wiesz co? Mam ochotę jechać z tobą i poznać twoje miasto”. „To świetnie!” — odparłem. Ela zdażyła kupić bilet i przyjechaliśmy razem do Skierniewic. Na placu przed dworcem stała samotna dorożka. Nie namyślając się, wsiedliśmy do niej, nie bardzo wiedząc, dokąd mamy jechać. Na pytające spojrzenie dorożkarza wreszcie odpowiedziałem: „Na Rynek, proszę” i stamtąd zaczęło się zwiedzanie. Ełę poznałem w tłumie manifestantów protestujących przed ambasadą amerykańską (wtedy jeszcze mieściła się ona na tyłach Rynku Nowego Miasta) przeciwko inwazji w Zatoce Świń na Kubie, w kwietniu 1961 r. Najczęściej wznoszonym okrzykiem było wówczas: „Cuba sí, yankees no” (Kuba tak, Jankesi nie). W tym czasie w stołówce na Kickiego pojawiło się mnóstwo półdzikich kotów. Spotkało się to ze stanowczym sprzeciwem mieszkańców, którzy właśnie wybrali nową radę i jej przewodniczącego w osobie niejakiego Bielobradka. Przy wejściu do stołówki powieszono wtedy takie oto hasło: „Bielobradek — sí, koty — no!”.

Z Elą chodziłem trochę na lekcje tańca towarzyskiego w akademiku żeńskim, ale było to coś tak odległego od wszelkiej spontaniczności (odmierzanie w skupieniu tak zwanych „kwadratów kubańskich” i tym podobnych), że wkrótce nas to dokumentnie znudziło i wycofaliśmy się. Najmilsze „prywatki” odbywały się u koleżanki z roku, Julii Kaleńskiej-Jaśkiewicz, w willi jej rodziców w Milanówku. Znakomita muzyka, wykwintne jadlo, bardzo kulturalny nastrój. Należałem do grona stałych bywalców tych niezapomnianych „prywaterek” przy ulicy Piasta 17. Przez kilka ostatnich lat dawna willa Julii była w ruinie, a ostatnio po prostu ją rozebrano. Julia wyszła po studiach za mąż za francuskiego wydawcę i od wielu już lat mieszka w Paryżu.

Wakacje letnie spędzałem w czasie studiów głównie na Mazurach, dokąd jeździłem autostopem. Autostop był wówczas doskonale zorganizowaną akcją: były książeczki i kupony autostopowe, które wręczało się kierowcom po przejechaniu jakiegoś odcinka drogi. Kierowcy chętnie zabierali autostopowiczów, gromadzili kupony i brali potem udział w konkursie, wygrywając dość cenne nagrody. Niezwykle tanim kosztem i bezpiecznie jeździło się wzdłuż i szerz po całej Polsce. Mazury i Suwalszczyzna to kolejny region, który wtedy odkryłem dla siebie i który urzekł mnie bez reszty. Nigdy nie zapomnę wycieczki wokół jeziora Wigry, latem 1961 r. Po skończeniu pracy przy wykopaliskach archeologicznych we wsi Osowa koło Suwałk (obiektem

tych wykopalisk były kurhany Jaćwingów) wybrałem się na tę wycieczkę w towarzystwie Janusza Reszki. Obeszliśmy całe jezioro dookoła, zatrzymując się po drodze w kolejnych wioskach, gdzie wypożyczaliśmy łódki rybackie. Wpływaliśmy na środek jeziora, zwiedzając wszystkie wyspy i zażywając niebiańskiej kąpieli w cudownej, przejrzystej wodzie. Oglądałem potem różne zakątki Mazur z innymi pięknymi jeziorami, ale nigdzie nie doznałem tak silnego uczucia przebywania w zupełnie rajskiej scenerii, jak nad Wigrami, w kompletnej głuszy: na trasie nie spotkaliśmy wtedy ani jednego turysty!

Dzięki zaangażowaniu w naukę języka hiszpańskiego, po trzecim roku studiów zostałem wytypowany na wyjazd stypendialny na Kubę. Castro zdeklarował się właśnie jako komunista i zaczął się jego flirt z „bratnimi krajami”, trwający aż do upadku komunizmu w Europie. W ramach tego flirtu powstała możliwość wymiany stypendystów. Po odbyciu wraz z innymi kandydatami na wyjazd za granicę specjalnego „obozu przygotowawczego” na Jelonkach w lipcu 1962 r., czekałem w Skierniewicach na ostateczne potwierdzenie daty wyjazdu i w pierwszych dniach października, gdy po raz ostatni przypędziłem krowy spod lasu, przywitała mnie na podwórku mama, trzymając w ręku telegram z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Radośnie zawołała: „Jedziesz na Kubę!”. Mój kolega z roku, Kazio Piekarec (do niedawna szef Redakcji Polskiej Radia Francuskiego w Paryżu) i ja byliśmy na Kubie pierwszymi stypendystami z Polski. Trudno przecenić wpływ tej podróży na całe moje dalsze życie: jest przemożny i trwa do dzisiaj.

KUBA

Przed wyjazdem prawie nic nie wiedziałem o tej „Perle Antyli”. Wszystko było dla mnie fascynującą niespodzianką, poczynając od niesamowitej podróży samolotem dnia 6 października 1962 r., z Warszawy przez Berlin Wschodni, Amsterdam (tam pół dnia przerwy plus nocleg w hotelu „Die Port van Clevee” na tyłach Pałacu Królewskiego), Frankfurt nad Menem, Zurych, Lizbonę, potem skok przez Atlantyk do stolicy Surinamu czyli Gujany Holenderskiej, Paramaribo, dalej Caracas, Curaçao (tam drugi nocleg plus pół dnia przerwy), Aruba (druga z Antyli Holenderskich), Kingston na Jamajce i Hawana. Pierwszy kontakt z tropikiem mieliśmy w Paramaribo, niezapomniany: samolot wylądował wieczorem, a mimo to odczułem uderzenie gorącego powietrza, jakie zwykle bucha z rozgrzanego piekarnika. I woń gnijących roślin, wilgoci. Ta woń miała mi potem towarzyszyć przez cały czas pobytu na Kubie.

Przylecieliśmy po południu. Tuż przed lądowaniem ceglasto czerwona ziemia i całe gaje *palm królewskich*, wyniosłych, o białym, masywnym pniu. Te pnienie wyglądały jak z cementu: stukąłem w pień, by sprawdzić, czy to rzeczywiście drzewo. *Palma królewska*, jak sama nazwa wskazuje, to bardzo dostojne drzewo, z pięknym, bujnym pióropuszem liści, a ponieważ niezwykle często występuje na obszarze Kuby, nic dziwnego, że figuruje w godle narodowym tego kraju. Często spotyka się wielkie, rozłożyste *sereczniki*, inaczej zwane *wetnikami* (po hiszpańsku „ceiba”), o grubym, także białym pniu

pokrytym często ostrymi szpikulcami. U podstawy ich pień tworzy kanciaste krawędzie, między którymi można wygodnie usiąść. Nawet w stolicy licznie rosną także ogromne *figowce baniany*, inaczej zwane *bengalskimi*, z warokczami korzeni zwisających z gałęzi i splatających się z pniem. Kilka takich olbrzymich *baniarów* rośnie przy budynku Wydziału Filozofii i Filologii Uniwersytetu Hawańskiego, gdzie odbywały się nasze zajęcia uniwersyteckie. Dają wspinały cień, dzięki gęsto rosnącym wielkim liściom. Trudno wymienić wszystkie wspinałe okazy flory kubańskiej, więc może na koniec wspomnę jeszcze o dwóch: *frangipan* (*Plumeria rubra*), stosunkowo niewysokie drzewo (2–4 metry) o rzadkich, dużych liściach i mięsistych gałązkach zakończonych pękami białych, żółtych lub ciemno różowych migdałowo pachnących kwiatów oraz *plómienniste drzewo* (*Delonix regia* albo *Poinciana regia*, po francusku *flamboyant*), rodzaj rozłożystej tropikalnej akacji o przepięknych, jaskrawo czerwonych kwiatkach; po nich pojawiają się wielkie, ciemnobrazowe strąki.

Wobec braku miejsca w hawańskich akademikach zostaliśmy ulokowani na osiemnastym piętrze hotelu „Habana Libre” (Wolna Hawana), przed Rewolucją „Habana Hilton”. Kontrast z poprzednimi warunkami mieszkaniowymi w Warszawie był ogromny: piękny, dwuosobowy pokój z łazienką i balkonem z widokiem na dzielnicę Vedado i Zatokę Meksykańską, codziennie zmieniane ręczniki i prześcieradła, znakomite jedzenie w hotelowej restauracji (kraby, langusty, wielkie tropikalne krewetki, wspinałe, nieznane przedtem owoce i soki), basen na tarasie pierwszego piętra do naszej dyspozycji, kabaret „Turquino” (nazwa najwyższego szczytu na Kubie w paśmie Sierra Maestra) na ostatnim, dwudziestym drugim piętrze, to wszystko sprawiło, że poczuliliśmy się jak w raj. Hawana w owych latach stała się „Mekką” wybitnych osobistości świata nauki i kultury zarówno z Ameryki Łacińskiej, jak i Europy. Pierwszy w Ameryce eksperyment z rewolucją socjalistyczną przyciągał jak magnes, a poza tym, Kuba stała otworem dla przyjaciół Rewolucji z całego świata. W windzie i w hallu hotelowym spotykaliśmy między innymi sławnego reżysera radzieckiego Aleksandra Kałatozowa, poetę Eugeniusza Jewtuszenkę, wybitną reżyserkę filmową z Francji Agnès Varda, czeskie aktorki filmowe, pisarzy, reżyserów, filmowców, aktorów, baletmistrzów, naukowców z Argentyny, Chile, Peru, Boliwii, Meksyku. Zaraz po naszym przyjeździe odbył się w Hawanie Tydzień Filmu Polskiego. Tuż po nim przyjechali do Hawany Andrzej Wajda i Beata Tyszkiewiczówna. Kazio i ja mieliśmy zaszczyt być ich tłumaczami.

Później kilkakrotnie jeszcze na prośbę polskiej ambasady występowaliśmy w roli tłumaczy, ale tak znamienitych osobistości już nie obsługiwaliśmy.

Trafililiśmy na kilkumiesięczną przerwę w zajęciach na Uniwersytecie: studenci pracowali właśnie przy zbiorach bawełny, kawy i kakao. Od października 1962 r. do marca 1963 r. uczyliśmy się więc sami języka hiszpańskiego, czytając prasę, książki i prowadząc codzienne konwersacje z naszymi świeżo poznanymi przyjaciółmi z Kuby i innych krajów hiszpańskojęzycznych.

Dzięki propozycji chilijskiego naukowca Patricia del Río zacząłem pracować jako tłumacz z francuskiego na hiszpański w Kubańskiej Akademii Nauk w hawańskim Kapitolu. Czasu wolnego było sporo. Rzuciłem się więc w wir zwiedzania starych, kolonialnych zabytków Hawany. Stolica Kuby ma jeden z najcenniejszych zespołów zabytków kolonialnych na świecie: nie tylko wspinała starówkę z katedrą z XVI w., ale i kilka potężnych fortec strategicznie usytuowanych i strzegących tego ważnego w okresie kolonialnym miasta przed częstymi atakami piratów angielskich. Wśród nich wyróżnia się forteca El Morro przy wejściu do obszernej zatoki. Przed trzydziestu laty UNESCO wpisało Starą Hawanę na listę zabytków stanowiących dziedzictwo ludzkości.

Vedado, gdzie mieszkaliśmy, to dzielnica nowoczesnych wieżowców i stylowych rezydencji tonących w zieleni ogrodów i parków. Najpiękniejszą dzielnicą jest odległy od centrum Miramar, a przecinająca tę dzielnicę Pięta Aleja to, moim zdaniem, jedna z najpiękniejszych ulic na świecie, z szerokim pasem cudownych palm, kolorowo kwitnących drzew i krzewów pośrodku, a po obu stronach Piętej Alei niesłychanie eleganckie wille w bajecznie pięknych ogrodach (w jednej z nich mieści się Ambasada polska). Spośród podhawańskich plaż upodobaliśmy sobie szczególnie wspinałą, długą plażę w Santa María del Mar, na wschód od Hawany, ciągnącą się wzdłuż szmaragdowych, jakże ciepłych wód Zatoki Meksykańskiej. Jedymin minusem wypraw na tę plażę był długi i niewygodny dojazd z kilkoma przesiadkami: na pokonanie około 40 km potrzeba było aż dwóch godzin!

Jak już rzekłem, w marcu 1963 r. zaczęły się regularne wykłady na Uniwersytecie. Jako wolni słuchacze wybraliśmy sobie sami najbardziej interesujące naszym zdaniem wykłady i ćwiczenia. Spośród nich wymienię historię kultury, którą znakomicie wykladał wybitny pisarz kubański Alejo Carpentier (jego dzieła zostały w całości przetłumaczone na polski przez Kalinę Wojciechowską i Janinę Carlson) oraz poezję hiszpańską XX wieku, którą błyskotliwie prezentował znany poeta i krytyk literacki Roberto Fernández Retamar. W kwietniu 1963 r. przeprowadziliśmy się do jednopiętrowej willi przy ulicy F nr 157, w tej samej dzielnicy Vedado. Była to przed Rewolucją własność wziętego inżyniera, który we właściwym czasie czmychnął do Meksyku: nadal przychodziły do niego listy z różnych stron świata. Rząd Castra urządził tam mini akademik dla stypendystów zagranicznych. Zamieszkaliśmy w obszernym pokoju we trzech: Kazio, Hiszpan Manolo i ja. Oprócz nas w willi mieszkali Bułgarzy, Węgrzy, Czesi i studenci z NRD, razem około 20 osób. Muszę przyznać, że byłem bardzo zadowolony z tej przeprowadzki: nareszcie znalazłem się w swoim środowisku. Bezosobowa atmosfera wielkiego hotelu już mi doskwierała, zwłaszcza, że pod koniec zepsuła się klimatyzacja, co zmusiło mnie do wyciągnięcia łóżka na balkon: w pokoju dostosowanym do klimatyzacji zrobiło się tak upiornie duszno i gorąco, że o spaniu nie było mowy! Trzymaliśmy się głównie z Hiszpanem i Węgrami: z nimi potem jeździliśmy na wycieczki, spędzaliśmy

święta (na przykład Boże Narodzenie w 1963 r. na Wyspie Pinos, rozślawionej przez Roberta Stevensona *Wyspie skarbów*).

Poza Hawanę zafascynowało mnie kolonialne miasteczko Trinidad z XVI–XVII w. Leży u stóp gór Escambray, w środkowej części Kuby. Stare, brukowane „kocimi łbami” uliczki z głębokim rowkiem – ściekiem pośrodku, parterowe na ogół domy z wysokimi okratowanymi oknami (kraty nie tylko metalowe, ale przede wszystkim drewniane, pięknie toczone!), wewnątrz domów belkowe sufity z cudowną snycerką rodem z Wysp Kanaryjskich, które w okresie kolonialnym stanowiły pomost między hiszpańską metropolią a krajami Nowego Świata. To wszystko sprawia, że Trinidad stanowi żywe muzeum: mało już na świecie takich pięknych skansenów dawnej architektury!

Santiago de Cuba na wschodnim krańcu Wyspy słynie z pięknego położenia nad wielką zatoką, u stóp gór Sierra Maestra i ze starych uliczek stromo wznoszących się ku górom i opadających ku zatoce. Nie brak tu starych, stylowych domów kolonialnych z równie pięknymi kratami w oknach, co w Trinidadzie. Najdalej na południowy wschód leży Baracoa, pierwsze hiszpańskie miasto na Kubie, dziś niewielka osada ze starym fortem, chlubiąca się pięknym położeniem przy ujściu szerokiej rzeki Toa, u stóp gór zwanych Cuchillas de Baracoa (Łańcuch Baracoa). Ma specyficzny, typowo tropikalny mikroklimat: to tu występują najbardziej obfite tropikalne ulewę, wilgotność jest największa, a roślinność pokrywająca stoki malowniczych gór najbujniejsza na całej Wyspie, aż kipiąca!

Na zachodnim krańcu, w prowincji Pinar del Río, najciekawsza jest Dolina Viñales, z której czerwonego dna wyrastają pojedyncze *mogotes*, skaliste ostańce pokryte suchą roślinnością i palmami oraz samotne, ostre skały. To w tej prowincji uprawia się najlepszy na świecie tytoń, a nieodłączną cechą krajobrazu są jego plantacje i tak zwane *casas de tabaco*, czyli kryte spadzistymi strzechami sięgającymi do samej ziemi, wielkie szalasy do suszenia liści tytoniu. Widziałem je potem także na Dominikanie.

Kubańczycy okazali się bardzo serdecznymi gospodarzami. Otwarci, gościnni, weseli, muzycyści nierzadko spontanicznie zapraszali zagranicznych gości. Parę razy zdarzało mi się, że gdy chciałem uiścić rachunek za konsumpcję w restauracji czy kawiarni, dowiadywałem się ku mojemu wielkiemu zdumieniu, że już ktoś z obecnych tam gości zrobił to za mnie. Oczywiście, nie było mowy o tym, by ten ktoś zechciał potem przyjąć ode mnie pieniądze. Przyznam, że nigdy potem coś takiego mi się więcej nie przydarzyło. Gdy stałem w zatłoczonym autobusie, siedzące pasażerki proponowały mi wielokrotnie, że potrzymają mi teczkę z książkami czy jakiś pakunek, by uczynić mi podróż wygodniejszą. Odmówić w tej sytuacji po prostu nie wypadało: sprawiłoby to im przykrość. Zwyczaj ten spotkałem później jeszcze na Dominikanie, ale tylko tam poza Kubą!

W poszukiwaniu materiałów do pracy magisterskiej o słownictwie pochodzenia indiańskiego na Dużych Antylach Hiszpańskich (Kuba, Dominikana i Puerto Rico) pod koniec pobytu na Kubie trafiłem do siedziby Ateneum Hawańskiego i Kubańskiej Akademii Języka Hiszpańskiego. Dyrektorem obu tych instytucji był wtedy znany humanista kubański, przyjaciel sławnych uczonych i pisarzy hiszpańskich, José María Chacón y Calvo. To dzięki jego propozycji i poparciu uzyskałem w 1967 r. stypendium hiszpańskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych i odbyłem moją pierwszą podróż do Hiszpanii.

Teraz jednak kończył się mój pobyt na Kubie: 11 lipca 1964 r. odpływałem z portu Cienfuegos na południowym wybrzeżu Wyspy, do Gdyni. Podróż polskim statkiem handlowym „Piaś” trwała 16 dni. Dwudziestego siódmego lipca 1964 r. przybiliśmy do nabrzeża portu gdyńskiego. Tak skończył się 21-miesięczny pobyt w tropikach. Po pierwszych radosnych powitaniach z mamą, siostrą, rodziną, nastąpiła nieuchronna konfrontacja rodzinnego kraju z tym, co zostawiłem za sobą. W upalny lipcowy dzień wracałem pociągiem z Wybrzeża do Skierniewic i obserwowałem krajobraz: po jaskrawym przejrzystym świetle tropików wyglądał szaro, jakby przyprószony popiołem. Dziś muszę wyznać, że Stanisław hr. Wodzicki miał świętą rację, gdy pod koniec swych wspomnień zatytułowanych *Z ulanami Cesarza Maksymiliana w Meksyku* (Kraków 1931 r.) stwierdzał po powrocie do Europy: „Chociaż cieszyłem się z powrotu na stary kontynent europejski..., nie mogłem uwolnić się od wrażenia, jak brudna i biedna wydała mi się ta ziemia. Było to pierwsze wrażenie, nadto spontaniczne, niewywołane żadną przykrością, a zatem prawdziwe. Moje oczy przywykłe od trzech lat do wspaniałej i bujnej południowej roślinności... poczuły się urażone niepozornym wyglądem Europy, zarówno jej budynków, jak i przyrody”. Mogę tylko podpisać się pod tym stwierdzeniem i to oburącz! Toteż wkrótce omotała mnie wielka tęsknota za Kubą i tropikami, przyjaciółmi tam zostawionymi, słońcem, przyrodą, muzyką. Trwało to przynajmniej dwa lata.

Powrót do akademika na Kickiego był dla mnie istną degrengoladą! Miałem wrażenie, że stoczyłem się na sam dół prymitywnej, nędznej rzeczywistości. Miałem jeszcze do zaliczenia dwa lata studiów, co jakoś pozwoliło mi częściowo oderwać się od nieustannej kubańskiej nostalgii. Ponadto, już wtedy, jesienią 1964 r., zaczęła się moja współpraca z Ministerstwem Kultury i Sztuki: przez 5–6 kolejnych lat Departament Współpracy z Zagranicą tego Ministerstwa oferował mi regularnie pracę tłumacza podczas wizyt znakomitych gości z Hiszpanii i Ameryki Łacińskiej – muzyków, pisarzy, malarzy, reżyserów teatralnych, aktorów. Objeżdżałem z nimi wszystkie większe miasta w kraju. Zwłaszcza wizyty w Krakowie były dla mnie niezwykle atrakcyjne. Przy okazji poznałem wielu wybitnych przedstawicieli polskiego świata kultury: Krzysztofa Pendereckiego, Grażynę Bacewiczównę, Jarosława Iwaszkiewicza, Kalinę Jędrusik, Adama Hanuszkiewicza i innych. Pod

akademik na Kickiego przyjeżdżała po mnie „czarna wołga” z Ministerstwa, siejąc niemałe zdumienie wśród braci studenckiej.

Współpracowałem także z III Programem Polskiego Radia, nagrywając audycje o muzyce afrokubańskiej. Wygłaszałem prelekcje o literaturze i muzyce Kuby i Hiszpanii w Towarzystwie Przyjaciół Kultury Iberyjskiej. Już wtedy zacząłem tłumaczyć poezję i prozę iberoamerykańską. Latem 1965 r. musiałem odbyć obóz wojskowy w Bartoszycach na Warmii, by zaliczyć obowiązkowe szkolenie wojskowe. Po powrocie z Kuby nawiązałem w Warszawie sporo kontaktów ze studentami kubańskimi oraz stypendystami z innych krajów Ameryki Łacińskiej: Chile, Argentyny, Kolumbii, Ekwadoru, Wenezueli, Meksyku, Gwatemali, Brazylii, Peru. Niektórzy z nich bywali u mnie w Skierniewicach. W ciepłe czerwcowe dni jeździłem z nimi nad Rawkę, a potem wracaliśmy pieszo przez Puszcę Bolimowską i pola na Łowicką. Do tej pory, gdy się spotykamy, wspominają lodowatą wodę w Rawce, roje komarów w lesie, a także gościnność mojej mamy, która, wiedząc o tym, jak miło wspominałem pobyt na Kubie, przyjmowała moich latynoamerykańskich przyjaciół z otwartymi ramionami, szczęśliwa, że może ich ugościć.

Z tego okresu miło wspominam wakacje zimowe spędzane w towarzystwie przyjaciół z Warszawy u państwa Klimków na Toporowej Cyrhli koło Zakopanego. Jeździłem tam co roku od 1966 do 1971 r. (z wyjątkiem 1968 r., gdy byłem w Hiszpanii). Apogeum cyrhlańskich wakacji przypadło jednak na okres pohiszpański.

W czerwcu 1966 r. zdałem egzamin magisterski, kończąc w ten sposób studia romanistyczne na Uniwersytecie Warszawskim. Kuba stała się dla mnie furtką do Hiszpanii i całej Ameryki Łacińskiej, ledwie początkiem moich wielkich podróży. Kolejna — do Hiszpanii — miała dojść do skutku w końcu czerwca 1967 r.

Zygmunt Wojski

Wrocław, 13 listopada 2012

Bibliografia

Źródła archiwalne

Archiwum Diecezjalne w Łowiczu.

Księga chrztów Parafii św. Jakuba w Skierniewicach, 1778 r., sygn. 1.

Archiwum Państwowe w Warszawie Oddział w Łowiczu.

Akta miasta Łowicza, sygn. 1.

Księgi i akta hipoteczne sądów w Łowiczu, sygn. 186–187.

Zbiór Władysława Tarczyńskiego, sygn. 70 i 122.

Opracowania

- Bielecki R., *Somosierra*, Warszawa 1989.
- Bielecki R., *Szwolężerowie Gwardii*, Warszawa 1996.
- Brandys M., *Kozietulski i inni*, Warszawa 1967.
- Dunin-Wilczyński Z., *Somosierra*, Warszawa 2008.
- Dymnicka-Wołoszyńska H., Antoni Kazimierz Ostrowski, *Polski słownik biograficzny*, t. XXIV, 1979, s. 540–546.
- Małkus F., *Jan Kozietulski*, Skierniewice 1996.
- Wojtylak M., *Łowiczanin Kozietulski*, [w:] *Szkice łowickie*, s. 44–47.
- Wojtylak M., *Śladami nieznanego Walewskiego*, „Kutnowskie Zeszyty Regionalne”, t. II, Kutno 1998, s. 319–332.